Czy ktoś pomoże mi pozbierać moją szczękę z gorącej indyjskiej ziemi? Bo trochę mi opadła. Z lotniska udajemy się taksówkami prosto do naszego hotelu na Pahar Ganju. Szalona jazda w rozwalających się mini pojazdach i chaos, kompletny chaos. Wycie klaksonów zdezelowanych aut bez drzwi, ze sto razy miałam wrażenie że zaraz wjedziemy w inny samochód, a teraz to już na pewno kogoś potrącimy. Zasady ruchu drogowego to tutaj chyba pojęcie względne. Po drodze mijamy małpy i psy dojadające na chodniku resztki odpadków, bosych ludzi rozłożonych spokojnie przy drodze, mających wyraźnie ochotę na drzemkę i dzieci ciągnące za spódnicę zaabsorbowane czymś innym matki. Podczas jazdy ciężko jest powstrzymać się od otwierania szeroko buzi ze zdziwienia. Głupio się przyznać, ale chyba jestem po prostu w ciężkim szoku.

Wreszcie docieramy na miejsce. Nasza dzielnica przypomina trochę wysypisko śmieci o zapachu kadzideł i biedy. Mimo wszystko ludzie tutaj wydają się pogodni i nieprzejmujący się zbytnio brakiem obuwia czy zębów. Ja sama czuję się nieco zagubiona i przytłoczona nadmiarem ludzi zaczepiających mnie na każdym kroku i wyraźnie gapiących się na nasze białe buźki. Ciężko ogarnąć to wszystko nie tylko spojrzeniem, zinterpretować w jakikolwiek sposób. Nie wiem co o tym sądzić i postanawiam dać sobie trochę czasu. Byłoby głupotą stwierdzić cokolwiek po tych kilku godzinach.

Hotel Relax na Pahar Ganju jest miłym miejscem, dostajemy pokoje i powoli przyzwyczajamy się do myśli, że tutaj krowy chodzą po ulicach a dzieci biegają na bosaka. Czas wolny na odpoczynek daje nam odrobinę wytchnienia pod wiatrakami. Temperatura tutaj zmusza człowieka do ciągłego picia wody, która natychmiast wydostaje się na zewnątrz przez skórę oblewając nas tym samym strumieniami potu lejącego się po prostu zewsząd. Jednak do tego też można się przyzwyczaić. Kupiłam pierwsze owoce i zjadłam najsłodsze mango w całym moim życiu. Hindus poznany na bazarze objaśnił nam jak się targować i jakie powinny być ceny poszczególnych rzeczy. Ludzie są tutaj bardzo otwarci i przyjaźni, chętnie pokazują nam drogę i doradzają gdzie najlepiej zjeść. Wieczorem całą grupą udaliśmy się na kolacje, gdzie wygłodzone słowackie dzieci rzuciły się na indyjskie przysmaki. Było przepyyyysznie. W jednej chwili ulotniły się wszelkie wątpliwości i zrozumieliśmy, że chociażby dla takiego jedzenia gotowi jesteśmy stawić czoła wszystkiemu.

Ściana o którą się opieram jest gorąca. Nie, raczej ciepła, przyjemna. Moje włosy chłodno mokre, przyjemne. I powiew nie wiem skąd, na policzku i na czole. Marmurowe schody, granitowa ściana. Dotyk słońca nocą. Energia krąży. Wszystko tu jest organiczne, głęboko zakorzenione w przestrzeni, budynki rośliny w sobie wzajemnie zapuszczają korzenie. Ludzie nie zapuszczają chyba korzeni zbyt głęboko. Bieda jest kreatywna. To co zużyte i to co nowe, wiadomo, wszystko wspina się jedno po drugim, pnie się do gorącego nieba, łyka je wyszczerbionymi balkonami, ścianami, których nie ma (są kotary zamiast wybitych ścian na wyższym piętrze, teatrzyki w których nikt nie gra, chyba puste krzesła). Siedzę na klatce schodowej – to punkt wyjścia. Uwielbiam: żyrandol na trzy żarówki-świeczki z jedną żarówką energooszczędną, kryształy jak kolia trzygłowego bóstwa -to tani żyrandol, lubię jego samotność; balustradę intarsjowaną, lampę na półpiętrze, przydymioną i łuszczący się sufit; wazony, dzbany, na każdym stopniu jeden. Mogłyby służyć do jakiegoś rytualnego wejścia po schodach, ziarnko piasku wrzucane do naczynia za każdym krokiem aż na dach, ale taki rytuał chyba nie istnieje.

Wcześniej dzieciarnia ze Słowaka układała gumowe klocki na lotnisku w Helsinkach. Budowali i burzyli, takie jest koło życia. Po raz pierwszy leciałam tak wielkim samolotem, w którym był cały świat. Jak w amerykańskich filmach katastroficznych.

Gorąco po wyjściu z lotniska nie zabiło nas wbrew oczekiwaniom, a taksówkarz był uczciwy. Drugi, bo pierwszy nie chciał nas zawieźć.

Poszliśmy spać. Nieustannych klaksonów nie słychać w pokoju. Na tarasie to istna symfonia. Zasunięte zasłony. Senne popołudnie o 9 rano. Zasypiam wpatrzona w wir wiatraka. Budzę się ze wzrokiem utkwionym w wiatraku. Nie wiem ile czasu minęło i która jest godzina. Zawieszenie w czasie.

Pójdę zobaczyć indyjskie niebo.

Gwiazd mało, miasto jasne, ciche, ulice brudne. Ludzie poszli spać, zostały śmieci. teraz to widać.

Indie nie śmierdzą. Mają swój zapach, który trudno do końca określić, który turystom nie odpowiada, ale dla mieszkańców tak pachnie dom – nie czujesz tego na co dzień, ale rozpoznałbyś wszędzie. A może nie mam racji. Bezczelnie tworzyć teorie i rozbudowane porównania pierwszego dnia w nowym świecie..

Miasto się rozpada, budynki są trędowate. To jakby człowiekowi, który całą rękę ma trędowatą przeszczepić zdrowy palec, który również zaczyna gnić, potem kolejny i kolejny, a gdy cała ręka zacznie się rozpadać, obwiązać ją nitką dentystyczną. I się trzyma. A jeśli idziesz ulicą pomiędzy dwoma szczerbatymi rzędami trędowatych budynków i mijasz około czterdziestu mężczyzn w różnym wieku, z których każdy odprowadza cię wzrokiem (i żadnej kobiety), rzeczywistość zaczyna trącić oniryzmem.

Miałam właśnie iść spać, ale wyjrzałam jeszcze na taras i ssąc pestkę liczi zauważyłam roboty drogowe pod naszymi oknami. Nie ma rzeczywiście w Indiach lepszej godziny na kładzenie asfaltu niż druga w nocy.